

Fragment utworu w przekładzie

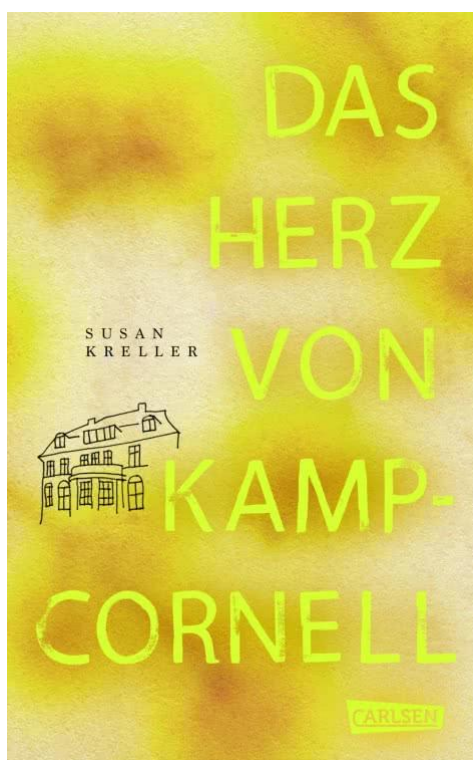
Susan Kreller
Das Herz von Kamp-Cornell

Carlsen Verlag, Hamburg 2025
ISBN 978-3-551-58546-2

Str. 46-60

Susan Kreller
W sercu Kamp-Cornell

Przekład: Anna Wziątek



Na zewnątrz pod latarnią znów pojawił się kapodziób: siwawy, o wyraźnie zmierzwionych piórach i pokrzywiany, koszmar każdego ortopedy. Ptak stał w delikatnym, rozrzedzonym świetle, mimo że latarnia nad nim wcale nie była włączona. Tak jednak często bywało z lampami, które nie świeciły, a jedynie zwisały z sufitu lub tkwiły na latarnianych słupach: człowiek wyobrażał sobie ich światło i dzięki temu dostrzegał rzeczy, które normalnie pochłonęłaby ciemność.

Albo takie, których w ogóle nie było.

Gęś jednak była. Z elegancko wygiętą szyją kroczyła pod nieświecącą latarnią w tę i z powrotem, pozwalając się podziwiać, i nie rzucała choćby najmniejszego cienia. Za to Penelope odchyliła turkusową głowę do tyłu i znów zaczęła mówić:

- Typowa *Cereopsis* i tak dalej. Niemniej jednak nie rozumiem, czego tu szuka.

Przecież można je spotkać tylko na australijskich wyspach.

- Skąd się tak dobrze znasz na tych... kapodziobach?

- Co? – spytała Penelope. – Aha. Kapodzioby. I w ogóle wszystkie ptaki. Mam je po siostrze.

- Gabrielli?

- Lydii.

- Ale... – wtrącił Edin i to na tyle głośno, by spowodować, że Penelope odsunęła się od niego o kilka dodatkowych milimetrów i odezwała się nieco szorstko:

- Jeśli chciałeś spytać, czy zapomnieliśmy zabrać ją z domu, to nie, nie zapomnieliśmy. Nikt nie zapomina o Lydii. O niej nie da się już zapomnieć. Lydia nie żyje.

Edin sam odsunął się teraz od Penelope na tyle, że między nimi zmieściłoby się jeszcze pół dodatkowej osoby. Myślał o tym, jak jemu i pozostałym przedstawiono wtedy siostry, mianowicie jako trojaczki, mimo że one same obstawały przy tym, że są po prostu siostrami.

- Trzecia... trojaczka – powiedział Edin. – Czy Lydia... ehe, zmarła podczas narodzin? Penelope tupnęła znacząco.

- Zmarła, umierając – wykrzyknęła. – W chwili śmierci, jeśli chcesz wiedzieć dokładnie. Trzy lata temu.

Odgłosy, które w pewnym momencie ucichły, powróciły, prawdopodobnie wywołane delikatnym tupaniem Penelope. Słysząc było kroki, coś jak przesuwanie mebli, metal uderzający o metal. Dźwięki przypominające cięcie nożycami. Bardzo głośne prace remontowe. Ustawianie rusztowań.

Jednak te odgłosy były tak niewyraźne, tak trudne do zdefiniowania, że równie dobrze mogły być czymś innym, odgłosami obcego życia, które po prostu zabłąkały się w domu. A jednak ich brzmienie miało w sobie coś niepokojącego i budzącego obawę, pasowało do zmarłej w chwili śmierci trzeciej trojaczki.

- Przykro mi... – powiedział Edin i tym razem dobrze się stało, że *te* słowa dobieły się z jego ust tak cicho, ponieważ w ten sposób nie mogły rozpaść się w pył, jak to zwykle bywało, gdy tylko zostały wypowiedziane.

Penelope nie odpowiedziała. Nie podziękowała. Nie skinęła głową jak ktoś, kto regularnie co dwa miesiące musi słuchać tej samej frazy. Przykro mi. Przykro mi. Przykro mi. Penelope Melitzky nie pociągnęła nosem, nie załkała, nie wywróciła oczami. Gapiła się po prostu na zewnątrz, a jej wzrok podążał za gęsią, podbiegał z nią kawałek, razem z nią zmieniał kierunek, i tyle.

- Gabriella – wyjaśniła teraz Penelope swojemu odbiciu w ciemnej szybie okna – przejęła po Lydii chemię. Wzory, eksperymenty, buchające słupy ognia. Czyli rzeczy, których nikt nie rozumie. A ja rysuję za Lydię. Przejęłam też ptaki. No i to, że się nie boję. Tak w ogóle to absolutnie niczego.

Powiedziawszy to Penelope się wzdrygnęła i chwyciła dłoń Edina, której mogła dosięgnąć, wyciągając rękę, ponieważ stał tak daleko od niej. Drżała. Ręka, Penelope. Drżała, ponieważ w noc zakradł się nowy dźwięk, pojedynczy, ale bardzo głośny, przypominający zbyt dużą łyżkę spadającą do zbyt dużego talerza zupy.

Edin ścisnął drżącą dłoń swojej kuzynki i powiedział:

- Okej. Jasne. Zrozumiałem. Przejęłyście hobby waszej siostry.

Penelope tylko na niego popatrzyła.

Milczała.

- Okej. Jasne. Zrozumiałem. Przejęłyście hobby waszej siostry.

- Usłyszałam już za pierwszym razem – powiedziała Penelope i nieuprzejmym szarpnięciem uwolniła swoją dłoń z dłoni Edina. – Czy ty naprawdę musisz zawsze się powtarzać? Hobby? Co za bzdury. Nie przejęłyśmy jej hobby. Przejęłyśmy Lydię. No. Idziemy. Dźwięki dochodzą z dołu. Mam dość, schodzę na dół. Zobaczę, co się dzieje.

- Naprawdę chcesz tam zejść? No powiedz! Serio chcesz tam...

Ale Penelope już ruszyła.
Nie obejrzała się.
Jej drżenie ustało, zanim zdążyło nabrać tempa.

@

Coś ją obudziło. Podejrzewała kręgosłup, ale ten nie dawał o sobie znać. Pomimo cienkiej karimaty Ann Melitzky leżała wręcz wygodnie na podłodze dużego, ciemnego pomieszczenia. Od razu wiedziała, gdzie jest, ani przez sekundę nie straciła orientacji. Była w Kamp-Cornell. Była tam, gdzie nie chciała być. Nigdy więcej. Ponieważ dom, w którym teraz leżała, nie był dobrym domem, takim, w którym panuje pokój.

Bądź co bądź przetrwała wczorajszy dzień, którego tak długo się obawiała. Jak na razie przeżyła uprzejmych mieszkańców Kamp-Cornell, którym już jako dziecko zlorzeczyła w duchu i których bała się z głośno bijącym sercem. Przeżyła też dom, który od tak dawna ją przerażał, przeżyła przynajmniej przez ostatnich kilkanaście godzin, a nawet *wciąż jeszcze* żyła, nieco senna, nieco obca, ale tutaj.

Tutaj.

I coś ją zbudziło, przenikło do jej snu, ostrożnie zmieszało się ze snem jak ubite białko w starym francuskim programie kulinarnym. Duże pomieszczenie, w którym ona i większość pozostałych urządziła sobie tymczasowe posłania, znajdowało się nad prawie pustym salonem, w którym leżał jej ojciec. Tu u góry był dawniej pokój muzyczny i do szycia, przy czym muzykę reprezentował jedynie marny flet, a robótki ręczne dwie zardzewiałe maszyny do szycia, z których tylko jedna działała.

Teraz wszystko zniknęło: muzyka, maszyny do szycia i człowiek, który kiedyś siedział przy jednej z nich. Zamiast tego wszędzie leżały materace, karimaty i plamy księżycowego światła, ludzie nocą. Krewni nocą. Obcy. Pokój przypominał Ann salę sypialną sierocińca gdzieś daleko, może w Maine, w Saint-Cloud. Dach nad głową, ale serce bezdomne, tak mogło to wyglądać.

Było tu tak ciemno, że nie była w stanie ocenić, czy w każdym ze śpiworów rzeczywiście leży człowiek, czy tylko tak to wygląda. Ann wiedziała jednak, że brakuje dwóch Melitzkych: jej siostry Rosalie i jej nieszczęsnego syna Johnny'ego, którzy na tym piętrze już urządzili sobie pokój.

Tam!

Słyszała coś pomiędzy cichym pochrapywaniem swoich sióstr i ciszą oddechu dzieci. Teraz już wiedziała, dlaczego się obudziła. Nigdy nie zapomniała, dlaczego kiedyś każdej nocy, którą spędziła w tym domu, budziła się z przerażeniem. W dziecięcych dniach. Dziecięcych nocach. Dziecięce noce były najgorsze. Zanim zasnęła, gdy kładła się do łóżka, za każdym razem przykrywała się strachem, a to przykrycie nie było z rodzaju tych, które chronią. Zawsze w końcu pojawiały się te dźwięki, noc w noc, a jej rodzice zawsze tłumaczyli je w sposób dorosły, racjonalny lub, co zdarzało się znacznie częściej, uznawali je za czyste wymysły.

W jej strach nie wierzyli.

Nie wstrząsali przykryciem utkany ze strachu, aby jej tak nie ciążyło.

Stop!

I znów to samo. Usłyszała kilka różnych dźwięków naraz, i żaden z nich nie pasował do tego domu, a już na pewno nie do tak czarnej nocnej pory. Dźwięki nie pasowały również do mieszkańców Kamp-Cornell, którzy opiekowali się Viktorem Melitzkym, nawet nocą, *jeszcze*. Bo od jutra Ann i jej siostry same będą się opiekować starym ojcem, czy sąsiedzi tego chcą, czy nie.

Ann Melitzky wstała ze swojego posłania. Poczula teraz jednak coś zaszłego, gniewnego w plecach i po omacku przeszła przez ciemność pokoju do drzwi. Już ona się dowie, skąd dochodzą te odgłosy.

Teraz się tego dowie.

Najpóźniej za kilka minut.

Dziesiątki lat za późno.

@

Lu Winnefeld nie była nocnym markiem, nigdy nim nie była. Ale nie można być wszystkim. Lu po prostu nie lubiła biegać po nocy jak spłoszony upiór, kiedy wszyscy inni śpią, nawet gdy tymi innymi była dawniej tylko jedna osoba, mianowicie jej matka. A nieraz nawet i jej nie było. Noc i Lu niewiele łączyło, to pewne.

Nie chodziło nawet o to, że Lu bała się w ciemnościach albo pozbawiona światła dziennego traciła równowagę lub zarezerwowane dla siebie miejsce w życiu. Noc po prostu nie była jej porą. Była co najwyżej jakimś dodatkiem, który trzeba było ekstra zamawiać, a ona tego nie robiła. Dopiero gdy noc się kończyła, świat znów zaczynał się dla Lu, każdego ranka na nowo.

Dlaczego więc mimo wszystko stała w tym ponurym pokoju, w którym spała większość jej krewnych? Lu stała tam, ponieważ pokój nie był już ciemny, ale słabo oświetlony latarką z jej komórki, i ponieważ w świetle latarki zauważyła, że na materacach i karimatach leżała już tylko mniejsza większość jej krewnych: matka, ciotka Kalinka i kuzynka Gabriella. Wszyscy inni zniknęli. Ciotka Ann. Edin. Penelope. Najwyraźniej nie mogli zasnąć, co nie było niczym dziwnym, ponieważ Lu też budziła się co chwilę przestraszona dziwnymi snami, ze łzami w oczach. Nie mogła sobie jednak przypomnieć, żeby naprawdę je roniła, bo i kiedy?

Te sny nie były tym, co Lu nazwałaby koszmarem. Za każdym razem pojawiali się w nich przesadnie uprzejmi mieszkańcy Kamp-Cornell, zawsze w innej sytuacji, w różnej scenerii, w różnych kostiumach i z twarzami rozciągniętymi aż do oporu w uśmiechu. I chociaż ci mieszkańcy byli też w snach niesłychanie uprzejmi dla Lu, a sny miały w sobie coś radosnego i beztróskiego, to pierwszą rzeczą, jaką czuła po przebudzeniu, zawsze był strach, a przynajmniej coś nieprzyjemnego, trudnego do nazwania, co kładło się ciężarem na jej noc.

A teraz Lu Winnefeld straszliwie marzła. W pokoju było lodowato i unosił się w nim zapach muzeum gospodarstwa wiejskiego. Stęchlizna, starość i lekki posmak senności. Dopiero teraz Lu zauważyła, że dom wydaje odgłosy. Słyszała je wyraźnie. To było tak, jakby stary dom strzelał kośćmi, tak jak lubili to robić chłopcy z jej klasy, najchętniej w środku lekcji. Jeden z nich raz po raz wyciągał ręce do góry i krzyżował je w powietrzu, a potem poruszał głowę w zwolnionym tempie, wydając przy tym tak głośne trzaski, że słyszać je było nawet dwie klasy dalej, a woźny za każdym razem musiał przerywać pracę, aby dać upust swojemu przerażeniu. Tak przynajmniej mówiono. O ile Lu była dobrze poinformowana, wszyscy chłopcy z jej klasy przeżyli.

Pochyliła się teraz, wsunęła stopy bez skarpet w tenisówki, wyprostowała się i była gotowa. Skoro i tak ciągle się budziła, to spanie się nie opłacało. Równie dobrze mogła poszukać swoich zbuntowanych krewnych. Ostrożnie, bezszelestnie, na palcach. A mimo to stare deski w pokoju skrzypiały przy każdym kroku, chociaż na nikim z leżących nie robiło to wrażenia i nie wyrywało ich ze snu. Od strony matki Lu dobiegło wprawdzie krótkie mlaśnięcie, ona jednak nie zadała sobie nawet najmniejszego trudu, żeby się obudzić.

Na klatce schodowej było jeszcze zimniej, a deski skrzypiały jeszcze bardziej niż w pokoju. Na szczęście nie było tu niczego, co by spało lub było w inny sposób wrażliwe, więc Lu nie musiała się już przejmować. Z dołu dochodziły ją głosy, tylko szepty, jakieś drobne

nerwowości, no i te kości domu wciąż strzelały. Lu schodziła schodek po schodku, zbliżając się do odgłosów, trzymała się drewnianej poręczy i kierowała przed siebie światło komórki.

Czy się bała?

Nie.

Lu Winnefeld się nie bała.

I oto stali tam. Przed drzwiami ogromnego pokoju, w którym po prawej stronie z tyłu leżał malutki, świeżo upieczony dziadek Lu, zobaczyła nędzną straż, która nie wyglądała na zdolną do pilnowania kogokolwiek, a tym bardziej do jego ochrony. Kuzynka Lu, Penelope, trzymała się kurczowo ramienia swojego kuzyna Edina, który trzymał rękę na plecach swojej matki, a ta, ciotka Lu, Ann, miała na sobie obszerną koszulę nocną, w sam raz dla seniorki, i przykładła jedno z uszu do starych drewnianych drzwi.

Troje podsłuchujących było współnikami, ale nie czuli się z tym dobrze, byli złymi współnikami i wyraźnie odetchnęli z ulgą, gdy Lu spytała:

- Przyjaciele, co tu się dzieje? Czy ten hałas dochodzi stamtąd?

- Być może – odpowiedział Edin.

- Być może – odpowiedziała ich ciotka Ann.

- A niby skąd? – spytała Penelope. – To jedyny pokój, do którego jeszcze nie zaglądaliśmy. Poza tym słyszę, że dochodzi właśnie stamtąd. Wszyscy mogą to usłyszeć.

- A co z tym pokojem tam? – zapytała Lu. – Naprawdę w nim już byliście?

- To nie jest pokój – odpowiedziała ciotka Ann. – To schowek. I nie pytaj, co jest za tymi innymi drzwiami. Tymi po lewej.

- A co jest za tymi drzwiami? – zapytała Lu. – Tymi po lewej?

Ann Melitzky westchnęła, potrząsnęła głową, dla pewności potrząsnęła nią raz jeszcze. I powiedziała:

- To jest, no... to jest... *nieużywany pokój*. Nikt z was nie ma prawa tam wchodzić. Czy to jasne? My też nie mogliśmy tam wchodzić. I nadal nie możemy. Koniec dyskusji!

Dyskusja jeszcze się nie rozpoczęła, a przynajmniej Lu nic o tym nie słyszała, ale tak czy inaczej miała jeszcze *jedno* pytanie.

- Ale przecież tam zaglądaliście, prawda?

- Tak – odparła cicho Ann Melitzky. – Otworzyliśmy drzwi i zajrzeliśmy do środka.

Nieużywany pokój był dość... nieużywany.

Trudno było nie wychwycić, że nie był to ulubiony temat jej ciotki, więc Lu pośpiesznie dodała:

- No cóż, macie rację. Odgłosy muszą dochodzić z salonu. Tak, chyba też coś słyszę.

No cóż, sprawdźmy to.

Zdjęła rękę Penelope z ramienia Edina, aby podejść do drzwi. Kiedy położyła dłoń na ozdobnej klamce, Penelope gwałtownie się odwróciła, tupiąc z dziwną złością ruszyła do kuchni i powiedziała, udając, że to tylko tak na marginesie:

- Jestem głodna. W kuchni na pewno znajdę coś do jedzenia.

Trwało to jednak jeszcze chwilę, zanim Lu Winnefeld zebrała wystarczająco siły w dłoni, aby naprawdę nacisnąć klamkę drzwi do pokoju dziadka. Kiedy w końcu znalazła się w dużym pokoju wraz z Edinem i ciotką Ann, za jej plecami, tuż obok, w kuchni, coś się wydarzyło. A wydarzyło się to: długi, lekko piskliwy krzyk, któremu towarzyszył rytmiczny brzęk metalowej pokrywki garnka. Krzyk brzmiał przerażająco w odcieniu turkus. A kiedy krzyk i brzęk ucichły, Lu usłyszała coś zupełnie przeciwnego, tutaj, w ciemnym pokoju dziadka, który oddychał spokojnie i wydawał się głęboko spać. Był zupełnie sam. Bez żadnego nocnego towarzystwa. To przeciwieństwo, które zauważyli Lu, Ann i Edin i które wypełniło pokój jak niema armia, było czystą, potężną, absolutną ciszą.

4

Toster wypuścił dwie dymiące kromki czarnego chleba. W kuchni śmierdziało spalenizną, powietrze było zimne, chłodziło twarze średniej wielkości towarzystwa przy śniadaniu, a poranek był taki, jakie powinny być szare poranki. Szary. Nad zlewem kapał kran z cierpliwością szkockiej hafciarki, ale ten równomierny odgłos nie wystarczał, aby skłonić obecnych do kapnięcia choćby słowem. Milczeli i przeżuwali, przeżuwali i milczeli, mając już dość tego dnia, który wyłonił się z tak ponurej nocy.

Prawdę mówiąc, nie wszyscy tu obecni osobiście uczestniczyli w tej strasznej nocy. Rosalie i Johnny Melitzky na przykład uniknęli jej, śpiąc w swoim pokoju i we własnych łóżkach, podobnie jak Bernadette Winnefeld, z tą niewielką różnicą, że nie miała ona pokoju dla siebie i spała na twardej karimacie, przez co teraz czuła więcej kości niż faktycznie miała ich w ciele.

Kalinka Melitzky i jej córka Gabriella, trojaczka, również spały przez kilka godzin, ale potem były tak rozbudzone, jak rozbudzonym można być przez trzynastoletnią dziewczynę, która wydziera się nieustannie, że się nie boi i że ktoś musi natychmiast wyrzucić z domu te kurze łby.

Wszyscy, którzy tej nocy nie spali, szybko doszli do wniosku, że garnek z czterema górnymi częściami kurczaków był zapewne niefortunną pomyłką rzeźnika, drobną, irytującą

pomyłką, jaka prawdopodobnie przydarzyła się co drugiemu rzeźnikowi na świecie przynajmniej raz w życiu.

Ale patrząc teraz na ponure towarzystwo przy śniadaniu, można się było niemal domyślić, że tak naprawdę nikt nie wierzył w pomyłkę z kurzymi łbami. I tak właśnie było! Smutni byli również inni. Ci, którzy przesпали noc. Kuchnia była pełna przygnębionych Melitzkich i Winnefeldów. Słysząc było ich apatyczne przeżuwanie, skrobanie spalenizny z czarnych kromek chleba, słysząc też było opuszki palców czterech dorosłych sióstr, jak w rytm kapania wody z kranu przesuwają się po małych literach wyrytych dawno temu w drewnianym stole.

Odgłosów minionej nocy natomiast prawie nie było już słyszeć. Po drugiej stronie, w pokoju chorego Viktora Melitzky'ego, który był wypełniony meblami z salonu Rosie i Johnny'ego Melitzkich, i przez to dziwnym sposobem wyglądał na jeszcze pustszy, słyszeć było głosy kilku mieszkańców wsi, z poświęceniem opiekujących się chorym. Ann Melitzky zamknęła oczy, wypuściła powietrze przez nos, a następnie uderzyła dłonią w stół tak mocno, że od razu stało się jasne: to było *nadrobione* uderzenie.

Znowu.

Uderzenie, które przyszło dziesiątki lat za późno.

Które należało do innej epoki.

A jednak było to uderzenie, którego Ann nigdy nie odważyłaby się zadać wcześniej, kiedy jeszcze mieszkała tu jako córka Ernstiny i Viktora Melitzkich, mimo że już wtedy istniały miliony powodów, by to zrobić, a przynajmniej tyle, ilu obecnych było nachalnych sąsiadów. Wtedy i dziś. A czego było dosyć, było dosyć! Ann Melitzky ponownie uderzyła w stół i krzyknęła:

- No. A teraz bez ogródek. Rosa, Berni, Kalli. I wszyscy inni. A więc: ile na wpół zjedzonych zapiekaneek znajduje się w tej chwili w tej zgrzybiałej lodówce?

Na pytanie ciotki Johnny Melitzky zerwał się tak gwałtownie, że jego krzesło runęło z hukiem na podłogę. Wielkimi krokami zbliżał się do tej zgrzybiałej lodówki, dotarł jednak do niej jak na trzynastolatka z opóźnieniem, bo po drodze ciągle czegoś dotykał, a nawet kilka razy wciskał kciuk w masło. Kiedy doszedł do celu, otworzył ciężkie drzwi lodówki, a Lu Winnefeld wywróciła oczami i zawołała:

- Przyjaciele, czy możemy pominąć ten temat?

Ale Johnny nie należał do ludzi, którzy pomijali tematy lub cokolwiek innego. To było coś, co nigdy nie przyszłoby mu do głowy, broń Boże! Johnny Melitzky wiódł bowiem życie

zgodnie z zasadami. Wiedział, jak unikać niebezpieczeństw i zapobiegać większym nieszczęściom, po prostu dzięki dokładności.

Johnny Melitzky liczył.

Przeliczył życie.

A kiedy stał sztywno i prosto przy lodówce, gotowy do dłuższego wykładu i jednoznacznie nie z tego świata, przynajmniej nie do końca, każdy w kuchni mógł sobie bez większego trudu wyobrazić, jak musiało wyglądać życie tego młodego człowieka przez lata w szkole. Och, Johnny. Po tym chłopcu było widać, że w szkole nie mógł zapobiec żadnemu niebezpieczeństwu ani nieszczęściu, nawet dzięki swojej dokładności.

Nie mówiąc już o szybkości.

A jednak Johnny Melitzky zatrzęsął drzwiami lodówki błyskawicznie, a następnie oświadczył w tak profesjonalny i dorosły sposób, iż zostało dokładnie siedemnaście zapiekanki, że można było pomyśleć, że *jednak* jest z tego świata.

Ale przemilczał to, że poprzedniego wieczoru, kiedy wszyscy w domu poszli spać, starannie uporządkował i posortował te zapiekanki według stopnia ich zjedzenia. Przemilczał, że już wczoraj wieczorem wiedział o siedemnastu zapiekankach. Przemilczał, że tym przedsięwzięciem i tak nie mógł nikogo uratować, a już na pewno nie swoją kuzynkę Penelope, która nadal była blada i przerażona.